

LINDA
ZIELIŃSKA

Tęgo
Ci
nie
powiem

dla•czemu

LINDA ZIELIŃSKA

Tego Ci
nie powiem

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala
Redaktor prowadząca: Marta Burzyńska
Redakcja i korekta językowa: Magdalena Białek
Projekt okładki: Izabela Starosta
Skład i łamanie: Izabela Starosta

Niektóre wydarzenia opisane w książce są prawdziwe, a inne powstały całkowicie w wyobraźni autorki. Które są które, pozostanie tajemnicą Lindy lub stanie się zagadką dla dociekliwych czytelników...

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2021

Wydanie I

ISBN: 978-83-66521-52-0

Zapraszamy księgarnie i biblioteki do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami. Dodatkowe informacje dostępne pod adresem: kontakt@dlaczemu.pl

*Dla wszystkich, którzy wierzyli
we mnie bardziej niż ja sama.*

*Wszystko jest możliwe.
Niemożliwe wymaga po prostu więcej czasu.*

Dan Brown

1

Bzzzz... Bzzzz... Zawibrował mój telefon – mój pierwszy, najnowszy model czarnej nokii 1011, z czarno-białym ekranem. Z niechęcią przerwałam swój świeży układ taneczny, który ćwiczyłam w pokoju. Zawsze, kiedy rozpoczynała się jesieńna szaruga, było to moje ulubione zajęcie. Nie wiedziałam, co to prawdziwa, piękna złota jesień. Musiałam sobie radzić z ogarniającym mnie przygnębieniem za pomocą tańca. Tym razem zdjęłam słuchawki walkmana, przerywając tym samym piosenkę ulubionego zespołu Backstreet Boys „We’ve got it goin’ on”.

– Kto śmie przerywać tak ważne sprawy, to się nie mieści w głowie – wkurzałam się pod nosem.

„Twoje życie w niedalekiej przyszłości ulegnie diametralnej zmianie. Nie zawsze rozsądek wygrywa w pojedynku z sercem. Spróbuj swojego szczęścia na loterii. Zwróć uwagę na wszelkie propozycje i złote interesy. Jeśli chcesz otrzymać dalszą część horoskopu, wyślij...”

– Dobrze sobie – zaśmiałam się w głos. – Szkoda tylko, że nie przesłali mi właściwych numerów. Naciągacze.

Co ciekawe, moja mama zawsze wierzyła w takie brednie. Oczyma wyobraźni widziałam, jak puszcza nasze oszczędności nie z dymem, ale z każdym kolejnym SMS-em. Razem z babcią, kiedy ta jeszcze żyła, stawiały taroty i inne bajery. Jakieś wróżenie z kart, linie życia na dłoni, serio? Znajdźcie mi naiwnego, który

to łyknie, a chyba mu zapłacę za logiczne wyjaśnienie i zmianę mojego wyobrażenia, aby chociaż trochę się do tego przekonać. Jaki to, co mam na dłoni, może mieć wpływ na to, co się wydarzy w przyszłości? No niczego mi się to nie trzyma. Wszechświat działa, czuwa nad nami, co za głupoty. A horoskop? Zdzierstwo, ale przyznam, że zdarza mi się czytywać... Tak po prostu, z czystej ciekawości. Chociaż nigdy mi si nic nie sprawdziło. Jednak zawsze to, co jest zawarte w takim horoskopie, dziwnym trafem pasuje do danej sytuacji albo inaczej – człowiek czuje się tak zmanipulowany, że sam sobie dopasowuje treści do życia. Może sama zacznę pisać? W sumie każdy potrafi tworzyć bajki. Ale proszę, szanujmy się – nawet jako nastolatka miałam swój rozum, miałam już prawie osiemnaście lat.

Moje rozmyślenia przerwał dzwonek do drzwi, więc szybko pobiegłam na dół.

– No nareszcie! Ile można czekać! – krzyknęłam do przyjaciółki.

– Jak zawsze u ciebie można liczyć na miłe powitanie – rzekła zrezygnowanym tonem Kasia. Ale jak zwykle były to chwilowe dąsy, gdyż zaraz na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Kasia tego dnia ubrała się jak na Syberię: sweter, botki, szal i kurtka. Całe szczęście, że nie padał deszcz, bo pewnie przywdziałyby jeszcze przeciwdeszczowe palto, niczym Miś Paddington. Nie myśl jednak, że w myślach naśmiewałam się z przyjaciółki, ale znałyśmy się jak łyse konie, a ona czasami miała problem z dostosowaniem stroju do pogody.

– Mamo, wychodzimy! – krzyknęłam.

Odpowiedziała mi głucha cisza.

Mama była w domu, ale jak zawsze pochłonięta swoimi zajęciami. U nas, w Kałudze, żyło się, nie ukrywajmy – ciężko. Rosja to po trosze stan umysłu i nie ma co owijać w bawełnę

i mówić, że było inaczej. Każdy łapał się zajęć, jakich się dało, aby zdobyć grosz. Jeżeli mam być dokładna, to nie grosz, a kopiejkę. Patrząc na polski przelicznik, to większość Polaków byłaby wówczas, gdy dzieje się historia, którą Ci opowiem, tutaj milionerami, ale to tak nie działało. Niestety. Mogę powiedzieć, że nam trochę się poszczęściło. Ojciec był dobrze postawiony, co pomagało nam przeżyć i żyć w godnych warunkach. Jednak nie każdy urodził się w dobrej rodzinie i miał takiego farta. Nie będę smęcić, jeszcze o tym później wspomnę.

Codziennie po szkole spotykałam się razem z Kasią i resztą bandy – mogę stwierdzić, że byliśmy dziećmi podwórka. Dorastałam w latach dziewięćdziesiątych, więc teoretycznie obce były nam tematy telefonów komórkowych – ja miałam, bo ojciec... Porządny człowiek, pedant, musiał wiedzieć, gdzie jestem, z kim, po co i o której wróć. Zachowywał się trochę jak terażniejsza wersja aplikacji „Gdzie jest moje dziecko?”. Serio. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego i inne aktualne Centralne Biura Śledcze razem wzięte mogły się przy nim schować. Nie miał sobie równych. To chyba w miarę normalne zjawisko dla każdego ojca, że martwi się o swoją córeczkę, budząc jednocześnie jej niezadowolenie z tego, że jest szpiegowana.

Skoro mowa o mnie, to urodziłam się w 1979 roku. Pięknych czasach, kiedy nie wiedziałam, co to jest Facebook. W sumie nadal nie wiem, bo kompletnie mnie to nie interesuje. Szkoda mi na to czasu. Żyłam tym, co było tu i teraz. Nierealne? Ależ owszem, dobrze mi z tym było. Miałam znajomych, rodzinę, byłam spokojniejsza, że nie wiedziałam, co w dużym stopniu dzieje się chociażby w polityce. Myślisz sobie, że byłam zacofana? Nie sądzę. Telewizor? Zjawisko sporadyczne. Większą wartość miały dla mnie kolorowe karteczki, którymi się wymieniałam

i często chętnie przehandlowałabym połowę swojej rodziny za taką perełkę, której nie miałam w kolekcji. A uwierz mi, że czasami zdarzały się cuda, które były tego warte. Pewnie nie wiesz, o czym mówię, ale tym samym nie wiesz, co straciłeś! Mieszkaliśmy z rodzicami w domku po dziadkach, ale większość moich znajomych zajmowała mieszkania, a właściwie klatki w blokach, które były nazywane Kombinatami Państwowych Gospodarstw Rolnych (KPGR). Budownictwo rosyjskie nigdy nie było odpowiednio rozwinięte i po latach widzę, że niewiele się w tej kwestii zmieniło. Ludzie budowali, byle budować, a rzeczywiste potrzeby mieszkańców nie miały żadnego znaczenia. Jednak nie wiem, czy nie zamieniłabym się na taką klatkę, zyskując klimat panujący w blokach. Mówiliśmy na nie „pudełka”, bo wyglądały dosłownie jak kartonowe klocki z wyciętymi otworami na okna i drzwi. O takim luksusie jak balkon można było zapomnieć

W pudełkach wszyscy się znali. Sąsiedzi byli jak rodzina. Takiego klimatu nie da się oddać. Tego nie było na osiedlu domków. Tutaj żyły paniska, które czekały na twoje „dzień dobry”, inaczej szła skarga do rodziców. Zawsze mnie to śmieszyło. Ludzie ci myśleli o sobie, że są ponad wszystkimi i że wszystko się im należy.

A pudełka? Pudełka to inna bajka. Sami swoi. Dzieciaki były dla mnie jak rodzeństwo, bo patrząc na mojego starszego brata, chętnie bym go zamieniła. Dlatego częściej przebywałam z dala od swojego domu. Każdego dnia po szkole szłyśmy z Kasią na osiedle i bawiłyśmy się na dworze do późnych godzin. Do tej pory czuję zapach tego powietrza. Późnym latem – lekko zgniła wilgoć. Jesienią natomiast – lekko zgniłe liście. Kiedy po tych ponurych dniach wschodziło słońce, rzucało piękny miedziany kolor na otulone resztkami liści pudełka. A po deszczu, którego

nie lubię (jedynie kiedy przebywam w domu jest do zniesienia), w powietrzu unosił się zapach wolności. Wtedy były na topie ortalionowe dresy! Szelesty. No przecież bez tego nie było mo- wy o wyjściu. Miałam, pamiętam, różowy z białymi wstawkami, co to był za szal na dzielni! Każdy zresztą taki posiadał, to był ówczesny *must have*! A jakie były wygodne! Do wspinania się po drzewach idealne.

Oprócz mnie i Kasi nikt nie miał telefonu komórkowego, ale doprawdy, po co komu to ustrojstwo? Odpowiedz sobie na py- tanie: ile czasu poświęcasz na siedzenie przed tym małym ekra- nikiem? Poświęcasz, to właściwie złe słowo – marnujesz. Już wiesz? No właśnie. My doskonale wiedzieliśmy, jak się znaleźć, i nie potrzebowaliśmy do tego wspomagaczy. Umawialiśmy się przy trzepaku o danej godzinie i to było święto. Każdy wiedział, co ma robić.

A komputer? Zapomnij. Raz, że mało kogo było na niego stać, a dwa – nie było na to zwyczajnie czasu. Atrakcji nie brakowało. Wyobraźnia przecież nie ma granic. Często jeździliśmy na ro- werach nad sztuczny zbiornik, który znajdował się w okolicy. Były wspinaczki po drzewach, zwisy z trzepaków i cała masa innych spontanicznych pomysłów na spędzenie czasu.

Tego dnia tradycyjnie wybrałyśmy się na pudełka.

– Co ty jesteś taka jakaś podkręcona dzisiaj? W szkole by- łaś nieobecna, teraz milczysz. Do ciebie to raczej niepodobne – wyrzuciła z siebie Kasia.

Dodam, że nigdy nie owijała w bawełnę i zawsze mówiła to, co przychodziło jej do głowy, albo raczej, co ślina przyniosła jej na język. Czasami mieliła tym językiem na prawo i lewo, ale doprawdy uwielbiałam ją. Mieszkałyśmy od najmłodszych lat koło siebie. Nasi rodzice również mieli bardzo dobry kontakt.

Znałyśmy się jak przysłowiowe łyse konie, taka przyjaciółka to złoto. Teraz to się mówi najlepsza psiapsi? Coś słyszałam też, że jest takie słowo jak friendsiółka? Coś w ten deseń.

Czasami miało to swoje plusy, czasami minusy. Kiedy ktoś zna cię na wylot, można powiedzieć, że zna twój następny krok. Kiedy zaczynasz postępować inaczej i się buntujesz, pojawia się wielkie zdziwienie. Oby nie rozczarowanie. Kasia jednak potrafiła sprowadzić mnie na ziemię, kiedy popełniałam głupoty. Zdarzało jej się również obserwować moje poczynania po to, aby sprawdzić, do jakiego momentu się posunę, a następnie mnie przyhamować. Bardzo to w niej ceniłam.

– No halo! Ziemia do Marsa. Zakochałaś się czy co? – ponagliła mnie Kasia i podejrzliwie mi się przyglądała.

– Oszalałaś?! Nie może człowiek mieć gorszego dnia? Od razu wielkie halo. Jeszcze na głowę nie upadłam, żeby się zakochać. Po co mi to? – syknęłam.

– No jak to, po co? Żeby mieć męża, dzieci i być szczęśliwą kurą domową! – zaśmiewała się do rozpuku moja najlepsza koleżanka.

Wiedziała, jaki mam stosunek do chłopaków, związków i dzieci. Nigdy w życiu. Pęto na głowę mi niepotrzebne. Te wszystkie motyle w brzuchu, maślane oczy.

Przecież facet to same problemy, a ja ich nie szukałam. Wydaje mi się, że oni zresztą myśleli podobnie, a mi to pasowało. Niech się jak najdalej ode mnie trzymają, jako kumple zdecydowanie mi wystarczali.

– Dowcipna dzisiaj jesteś. Prawda jest taka, że nie mogę się dogadać z mamą. A właściwie z rodzicami. Jak wiadomo, kiedy oboje są przeciwko tobie, zaczyna się piekło – rzekłam, przewracając oczami i kręcąc nosem.

– Ale o co dokładnie chodzi? Zlituj się nade mną, bo mam wrażenie, że złamanie kodu Enigmy było prostsze od rozmowy z tobą dzisiaj – drążyła Kasia, lekko się niecierpliwiąc.

– Chodzi o to, żeby nie wpaść w błoto. Chcę chodzić na balet. Chcę być baletnicą! – wykrzyczałam z entuzjazmem.

– Noo, to chyba przybiję piątkę twoim rodzicom. Upadłaś z trzepaka na głowę?! Skąd taki pomysł? – zszokowała się i nawet podniosła głos ze zdziwienia.

– Mimo że oglądam mało telewizji, bo tata broni i nie mam czasu, w niedzielę siedziałam z Igorem i podziwialiśmy „Jezioro Łabędzie”. Przecież to jest majstersztyk. Coś pięknego! Te ruchy, te kostiumy. Chcę spróbować, a dobrze wiesz, że mam wycucie rytmu, lubię ćwiczyć i gimnastyka to moje drugie imię.

– Powiem ci, że wiesz, jak człowieka zaskoczyć. Tutaj plakaty Backstreet Boys, a tu zaraz wyskakujesz z baletem. No, jedyne o co bym cię nie mogła posądzić, to pójście w balet! – Na ustach Kasi zawitał złowieszczy uśmiešek. – I może jeszcze zakon!

– Zadziwiający, no nie? Jak to człowiek potrafi kogoś zaskoczyć. Ja tutaj się biję z myślami, co mam robić i jak przekonać do swojego pomysłu rodziców, a ty się ze mnie nabijasz. Zakon, wiadomo, odpada.

– Nie nabijam, ale chyba przechodzicie z bratem przemianę wewnętrzną, on też chce być tym czarnym łabędziem? – nie odpuszczała w swych zaczepkach Kasia.

– Wiesz, co? Goń się! – Po czym obie wybuchłyśmy niekontrolowanym śmiechem. Chyba to samo nam przeszło przez myśl: mój brat w tiulu.

Spojrzałyśmy na siebie rozbawione i ruszyłyśmy zwawszym krokiem do naszego celu. Zrywał się silny, jesienny wiatr. W powietrzu dało się wyczuć zmieniającą się pogodę i zbliżającą

wielkimi krokami rosyjską zimę. Zaczynałam rozumieć, dlaczego Kasia ubrała się tak, a nie inaczej. Chociaż raz jej się udało trafić odpowiednio do pogody.

Jak zawsze na miejscu czekała już na nas rozbawiona horda naszych koleżanek, czyli: Zocha, Marchewa i Pietrucha. Można powiedzieć, że połowa warzywniaka, ale nic bardziej mylnego, każda ksywa miała jakiś nieco głębszy podtekst. Zocha – wiadomo, od Zosi, złota dziewczyna, do rany przyłóż, spokojna niczym kwiat lotosu. Nie wiem, czy ktoś kiedyś byłby w stanie wyprowadzić ją z równowagi. Chyba że zaczęłyby pracować na co dzień z ludźmi – wtedy byłaby taka szansa, że ta oaza spokoju wybuchnie. Marchewa – bo Marchwińska, wiadomo, a do tego latem po długich godzinach przebywania na słońcu włosy robiły jej się lekko rude. Zawsze się śmiałam, że tak długo przyjmowała te promienie słoneczne, że aż zdążyła zardzewieć! Poza tym lekka wariatka, totalne przeciwieństwo Zochy. Jeżeli ktoś miał wpaść na jakiś szalony pomysł, to właśnie ona! Nieokielznany był jej charakter. Została nam jeszcze Pietrucha – bo Pietrzak. Trzymała całą naszą paczkę w ryzach, taki trochę balsam na moje czasami zszargane nerwy. Powiedziałabym, że całą ekipą bardzo dobrze się uzupełniałyśmy. Wiedziałyśmy, kiedy, kto i jak się zachowa. Takie trochę wróżki.

Plan był taki: gramy w gumę! Już Ci, Czytelniku, wyjaśniam, o co chodzi, bo coś mi się wydaje, że teraz się w to nie bawicie, mam rację? Śmiało, kiwnij głową. Jak nie wierzysz, to wpisz w te Wasze jutuby i się przekonaj, że nie ściemniam! Kiedyś tak się dzieciaki bawiły.

Zatem: gra w gumę lub skakankę znana naszemu pokoleniu, zarówno dziewczynkom, jak i chłopcom. Były polskie, dziesiątki, trójki, kokarda – technikom skakania nie było dosłownie końca!

Czasami ktoś wymyślił jakąś inną kombinację, metodę, to była furora. Skakaliśmy, gdzie się dało – w szkole na przerwach odstawialiśmy szybkie akcje, żeby tylko zdążyć chociaż raz zagrać. Dlatego bardzo często nie jadałam śniadania... i przynosiłam z powrotem do domu, żeby od mamy dostać bęcki, że marnuję jedzenie. Pod blokami, to już norma, guma po prostu musiała być! Często też zdarzało nam się organizować zawody, dzięki czemu była okazja do poznania dzieciaków z innych dzielnic czy klatek w bloku. Co to była za radość! Nie do opisania. Przy okazji kondycja się wyrabiała, nie ma co! Haha, nie to co teraz, siłki i inne bajery. Zadyszki nie miało żadne z nas. Zdarzało nam się grać nawet zimą. I to na klatce schodowej, skąd często stara Muminowa nas przeganiała – zachowywała się, jakby nigdy nie była młoda i zdecydowanie nie wiedziała, co to jest życie na krawędzi. Kiedy z Kaśką nie mogłyśmy znaleźć sobie trzeciej osoby do trzymania gumy, przywiązywałyśmy ją do kaloryfera czy innej poręczy. Jakoś w końcu trzeba sobie radzić, prawda? Zaradność nastolatek przede wszystkim!

Często wjeżdżała też skakanka, co to była za radocha! Żaba, lajkonik, krzyżak. Do dzisiaj słyszę: „Oj, oj, topię się. A ty, Kaśka, ratuj mnie...”. Do wyboru, do koloru było tych wszystkich rodzajów. A jaką siarą była skucha! No to było często zabawne. Skucha, czyli moment, w którym ktoś skusił... Prościej – zahaczył nogą o skakankę, potknął się, wywinął przysłowiowego orła – cyk i leżysz. Skoro już o tym wspomynam, przyznam się bez bicia, że jak miałam dobrą passę, to wymiatałam. Jednak kiedy przychodził gorszy moment, łapałam skuchę za skuchą! Jak taka totalna sierota! Nie będę zaprzeczać, że często mnie to bardzo dołowało, że nic mi nie wychodzi. Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że wtedy z odsieczą przybywały moje

koleżanki, które w roli psychologów spisywały się cudnie. Mówię Ci, zabawa była przednia. Tak właśnie spędzałyśmy z dziewczynami bardzo często wolny czas.

Guma – właśnie taki był plan tego dnia. Pogoda nie była nam straszna.

Marchewa na powitanie spojrzała na mnie spode łba, ale nic jeszcze nie powiedziała. Widać było, że chce nam o czymś powiedzieć, jednak miotają ją obawy. Nalała nam po kubku czerwonej oranżady, która była naszym ulubionym pićciem, a Marchewa zawsze na spotkanie przynosiła trzy butelki i rozlewała dla każdego po równo w plastikowe kubki. Dodała sobie chyba otuchy tym siłodajnym napojem, bo wreszcie wyrzuciła, co jej na sercu leżało.